

byliśmy przy oknie, ciocie odmawiały różaniec i było tak jakoś strasznie. Ciocia Stasia mówiła, że oni pewnie jeszcze wrócą, a ciocia Tekla, że niech Matka Boska Królowa Polski ma nas w opiece. Ciocia przeżegnała się szeroko, jakby nas wszystkich chciała schować na piersi pod ten znak krzyża.

No i nie wrócili.

Innej nocy byliśmy znów przy oknie. Teraz był straszny hałas i Siacha znówu płakała, że chce spać. Jechały czołgi a na nich pełno żołnierzy. To byli Ruscy. A za nimi Polacy. Wtedy ciocie wyszły przed dom, ale nam nie pozwoliły. Potem płakały, bo taty Siachy i Witka tam między tymi Polakami nie było i „tyko pan Bóg wie, czy on żyje”.

A wozy cygańskie jechały ulicą w dół w stronę miejskiego rynku. Witek zeskoczył z parkanu i pognął za swoim świeżo ostemplowanym siwkiem. Brodaty Cygan wychylił się z kolaski i śmignął batem, odpędzając intruzów.

– Witek, Witek! Zaczekaj.

– Krysio, chodź, dziecko, do domu.

Jak przebiegaliśmy koło domu, to ciocia Tekla chwyciła mnie za szelki i zaciągnęła do domu. A Witka nie. Tylko Siacha posłusznie sama zawróciła.

– Chodź, bo jeszcze gdzie pod koła wpadniesz.

Witek pędził dalej i krzyczał:

– Wio, siwy, Wio!

Cygan trząsał z bata. Usta wykrzywiły mi się w podkówkę, ale ciocia wyciągnęła już coś z zanadru.

– Masz, Krysio, jedz. Tylko nie cuduj już z tymi końmi.

– Ciociu, czy to naprawdę te wszystkie konie będą Witka?

– Jakie konie?

– No, co je ostemplował?

– Jak ostemplował, to pewnie, że będą.

– Aż czterdzieści?

– Aż czterdzieści.

Jak to tak mogło być? To dlatego, że on potrafi wejść na parkan, a ja nie? Skomplikowane i już! Tylko, że ciocia Tekla uśmiecha się dobrotliwie, kiedy to mówi, więc na pewno tylko żartuje. Ciocia ma w sobie coś takiego kochanego, dobrotliwego. Może to te siwe włosy upięte w mały węzełek, ten biały kołnierzyk, albo po prostu ten uśmiech, który ma zawsze na ustach. Jak to dobrze, że ja mam taką dobrą, kochaną ciocię. Niech tam sobie Witek ma tatę, co przyjedzie na wielgachnym czołgu i wróci, jak przepędzi Niemców. Niech tam sobie ma takich tatów i milion, i sto, a wolę mieć ciocię Teklę. I ciocię Stasię, co teraz też wyszła przed dom, i Siacha schowała się zaraz za jej czarną suknię.

– Ciociu – podbiegłem do cioci Stasi od drugiej strony.

– A co? Umazałeś się, jak te Cyganiatka.

Wytarłem usta rękawem.

– A ile to jest więcej, sto, czy milion?

– Milion. Pewnie.

Ciocia zawsze liczy fenigi i marki i układa je na na stole, a potem zawiązuje w chusteczkę. To ciocia Stasia wie. Jak przyjedzie ciocia Józia to zapytam ile to jest sto dodać milion.

– A jakbym nastemplował milion koni, to bym je miał?

– Nastemplował? A po co tobie milion koni?

– No bo jak się nastempluje...

Po co? Bym cugował na nich. Ale ciocia już nie słucha. Milion! To musi być bardzo dużo. Miliona to na pewno nawet Cyganie nie mają. A niech tam Witek ma sobie ten milion. Jak tato Witka przepędzi Niemców i wróci na czołgu, to i mnie pozwoli na nich pocugować. Na pewno pozwoli! A jak nie pozwoli? To nie. Nie, to nie. Moja ciocia.

– Moja kochana ciocia...

Siacha wyszła zza drugiej ciocinej strony i zaczęła mnie odpychać, ale ciocia ją odciągnęła.

– No, coś ty, Krysio, coś ty. Ustatkuj się.

– Ciocia.

– Witek to mówi, że jego tato to przegoni Niemców i przyjedzie na takim wielgachnym czołgu. Przyjedzie?

– Nie na czołgu, ale przyjedzie. Pewnie, że przyjedzie. I jego tata, i twój, i twoja mam na pewno też.

– Już niedługo?

– Tak, jak Niemców już nie będzie. Wiesz, tutaj już ich nie ma.

– Za miesiąc?

– Może.

– I moja mam? A Gawł to mówił...

– Tego Gawła to ty lepiej nie słuchaj.

– A czy to można sobie wszystko ostemplować? I mamę też?

– Głupis! Krysio. Po co chcesz sobie ostemplować jakąś mamę? Przecież masz i na pewno wróci.

– A jaka jest moja mama?

– Nie pamiętasz?

Nie. Chyba nie pamiętałem.

– Bo ja bym chciał żeby była taka, jak ciocia.

– Twoja mam jest taka, jak ci na fotografiach pokazywałem.

Taka? No to była inna niż ciocia. Do cioci Tekli też nie podobna. Pewnie każda mama jest inna. Gawła mama też jest inna. Jak jestem z Gawłem, to zaraz Gawła zabiera do domu, a mnie każe sobie iść.

Cyganie zatrzymali się pod lasem przy drodze do Brześcia i rozpoczęli swoją wędrówkę po miasteczku. Kobiety powychodziły z domów i stawały przed drzwiami, żeby Cyganie nie wchodzili do domów, „bo zaraz coś ukradną”. A dzieciarnia miała znów swoją uciechę goniąc za Cyganami i wołając dziko:

– Cygany! Cygany!

Cyganki wlokły ze sobą czarne, usmolone i obdarte dzieci. Te zupełnie maleńkie, które nie umiały jeszcze chodzić, Cyganki niosły na rękę: były wtulone do matczynej piersi, albo świeciły spod obszernych chust czarnymi oczkami, jak zdziczałe, przyczajone kotki. Większe dreptały bosymi nóżkami, trzymając się kolorowych kciek. Te były nieco weselsze, przekomarzały się między sobą w niezrozumiałym cygańskim języku. Niektóre dzieciaki niosły ze sobą kosze lub sięgające do samej ziemi torby. Inne niosły także swoje młodsze rodzeństwo. Cyganki zaczepiały kobiety

stojące przed domami; chciały powróżyć, albo żeby dać coś dla dzieci.

Obie ciocie, Stasia i Tekla, stały też przed domem. Nawinęła się skądś Siacha rozkrzyczana i umorusana tak, że tylko jej jasne włosy odróżniały ją od dzieci cygańskich. Dościliśmy po kawałku pachnącego ciasta na socie. Ciocia miała jeszcze jeden kawałek dla Witka, ale ten się gdzieś zawieruszył. Zbliżał się wieczór. Dymy spływały z dachów partowych domów i wlokły się leniwie ulicą. Pachniało wieczorną strawą. Niebo za cmentarzem rozogniło się zachodzącym słońcem i wyglądało tak, jakby cmentarny parkan otaczał rozżarzoną, promieniującą lawę; drzewa, jeszcze bez liści, stały w tej poświacie czarne i ponure. Także do nas podeszła Cyganka ze spleśzionym dzieckiem na rękę.

– Jeść ośmielam się łaski pani prosić. Może kawałek chleba dla głodnego dziecka. Powiem za to całą przeszłość waszą. Wszystkie dni jasne i ciemne na przyszłość pokażę.

Słuchałem tego śpiewnego głosu z zacięciem. Też byłem wystraszony, bo już słyszeliśmy, że Cyganie mogą nas złapać i zabrać. Ciocia Tekla mówiła, że „po co im to, mają dosyć swoich”. Ale mama Gawła mówiła, że „na mięso”. Ciocia Tekla się śmiała, że „co takie chudzy mają mięsa.” Ale teraz ta Cyganka wyglądała mi zupełnie inaczej od tych, które jechały w taborze i nawet nie spoglądały w naszą stronę, gdy gapiliśmy się na nich jak wjeżdżali do miasta stemplując wybrane konie. Była podobna do innych matek, które przychodziły czasami do naszego domu z dziećmi na rękę. Ta Cyganka była tylko bardzo czarna, jak żadna z tamtych, polskich matek, i brudniejsza, i jej chusta była poobrywana, jakaś taka, że było żal. To małe, strzelające dotąd czarnymi oczkami w każdego z nas. Wygrzebało teraz rączki spod kwicistej chusty i usiłowało złapać matczyne usta, gdy ta mówiła.

W rękę trzymałem jeszcze kawałek ciasta. Podałem je nieśmiało Cygance.

– Niech los będzie dla ciebie szczęśliwy, sieroto.

Cyganka odłamała kawałek i włożyła do buzi dziecka, a mnie pogłaskała po głowie. Ciocia Tekla wróciła do domu i po chwili wróciła z zawiniątkiem dla Cyganki. Ta ukryła je natychmiast w fałdzystej spódnicy. Dziecko dostawało po kawałku ciasta i gaworzyło wesoło.

Ciocie nie pozwoliły wróżyć, „bo to grzech”.

Cyganka jeszcze raz pochyliła się nade mną i gładząc mnie po głowie powiedziała:

– Zapamiętaj sobie jak będzie wyglądał dzisiaj w nocy księżyc. Potem oglądaj go każdej nocy. A kiedy będzie znów taki sam, wyjdź na drogę po twoją matkę.

Cioci się to chyba nie podobało, że Cyganka jednak wróżyła.

– A skąd ty wiesz, Cyganko, że on nie ma matki?

Cyganka jakby nie słyszała; spuściła oczy, zawinęła szczelniej dziecko i kłaniając się odeszła.

Ciocia Stasia poszła szukać Witka. Siachę zabrała ciocia Tekla do domu. Ja nie chciałem